

# Klucz w dłoni Jakuba (i inne klucze)

„Schulz? Wyczerpałem” – miał podobno powiedzieć Artur Sandauer w latach siedemdziesiątych ubiegłego wieku pewnemu młodemu poloniście, który chciał u niego pisać pracę magisterską na temat *Sklepów cynamonowych* (bohatera tamtego zdarzenia, dzisiaj znanego eseisty i prozaika, proszę tą drogą o pisemny certyfikat prawdziwości). Już wtedy, gdy mi o tym mówił, dobrze wiedziałem – choć sam byłem jeszcze młody i dość naiwny – że ten stary krytyk nie może mieć racji, mimo iż w sprawach Schulza uchodził za niekwestionowany autorytet. Jego esej *Rzeczywistość zdegradowana*, poczynając od 1957 roku wielokrotnie publikowany, na długi czas ustalił horyzont interpretacyjny i zabetonował czytelniczą inwencję, czytelniczą wolność (i nieuniknioną czytelniczą samowolę).

Zamknąć Schulza na klucz? Nie da się przecież – przekonywałem siebie i innych, mając w pamięci niedawno odebraną lekcję poetyki – interpretacyjnie wyczerpać żadnego tekstu raz na zawsze. Przesunięcia pokładów tradycji, reorientacje napięć w sferze dzieł literackich, zmiany paradygmatów kulturowych, następstwo pokoleń – wszystko to odsłania nieznanne oblicza dawnych tekstów i każe je nam czytać ponownie. Tak brzmiały zgodne w tym punkcie oświadczenia wojujących wtedy w Polsce humanistów – strukturalizmu i hermeneutyki. Czemuż miałbym im nie wierzyć? Byłem w terminie.

A zatem także Schulza – uświadamiałem to sobie wówczas po raz pierwszy – czytamy zawsze w jakiejś historycznej sytuacji i umieszczamy jego dzieło w takim interpretacyjnym horyzoncie, który jest nam dostępny. Tak, z całą pewnością, lecz nie ma co ukrywać, że skromne rozmiary literackiego dzieła Schulza, zredukowanego w znacznej części przez dwudziestowieczne totalitaryzmy, sprawiają, że egzegeci i wyznawcy co rusz wchodzą sobie w paradę. Nie da się, tworząc własną interpretację, nie potykać o cudze. Te same odkrycia i – co nieuniknione – wiecznie te same cytaty. To męczące, zwłaszcza dla tych, którzy mają całego Schulza w pamięci. Ktoś nawet wpadł kiedyś na pomysł, by podczas zgromadzeń schulzologów już nie odczytywać najsłynniejszych fragmentów prozy Schulza, skoro są wszystkim znane, tylko je ponumerować i w trakcie prezentacji kolejnego referatu na temat *Sklepów cynamonowych* czy *Sanatorium pod Klepsydrą* informować zebranych: przywołuję fragment 34, a teraz fragment 56. I tak dalej, według tej samej konwencji.

Równocześnie jednak żywimy przeświadczenie, że Schulz – tak często czytany i cytowany – ciągle jeszcze nie został do końca przeczytany, że kolejni, mniej lub bardziej głośni interpretatorzy (idźmy odważnie po nazwiskach: od Ficowskiego i Sandauera po Speinę, Wyskiela, Stałę, Jarzębskiego, Boleckiego, a ostatnio Gondowicza czy Markowskiego) nie powiedzieli ostatniego słowa w sprawach

Schulza. I nie znaleźli jeszcze właściwego klucza. Schulz wymyka się swoim egzegetom. Myli tropy, zawsze jest gdzie indziej. Czasem odnoszę wrażenie, że z czułą pobłażliwością przygląda się tym, którzy w euforii pierwszych odkryć czytelniczych powtarzają z powagą i namaszczeniem jego zdania o Księdze (i jej ontologicznej sile), o manekinach i demiurgii wtórej, o mityzacji rzeczywistości...

Stereotypy i banały interpretacyjne, którymi Schulz, jak każdy wielki pisarz, coraz bardziej obrasta, nie powinny jednak zagrażać dostępu do jego dzieła. Ani też zniechęcać do podejmowania nowych (kolejnych, własnych, ryzykownych) wysiłków interpretacyjnych. Jeśli chcemy „odnawiać znaczenia”, nie pozostaje nam nic innego, jak czytać ponownie, czytać raz jeszcze, wedle słynnej formuły *Lire c'est re-lire*. W jaki sposób się do tego zabrać? Na następnych stronach znaleźć można kilka pomysłów. Wystarczy założyć (jak Millati), że w rysunkach Schulza kryją się załączki fabuły nierozwiniętych w jego prozie i – porównując obydwie formy wypowiedzi – zauważyć, że na przykład w autorskim projekcie okładki do *Sanatorium pod Klepsydrą* Jakub, maszerując z synem przez ogarnięte rewolucją miasteczko, trzyma w dłoni wielki klucz. Tego klucza w opowiadaniu nie ma. Co on oznacza? Jakiej fabuły jest rekwizytem? Wystarczy też przyjąć (jak Orzeszek), że niewielka notatka Schulza z lektury Taine'a, która pozwala zobaczyć pisarza w sytuacji czytania, może okazać się kluczem do zrozumienia jego eschatologicznych lęków i nadziei. Wystarczy wreszcie stanąć (jak van Crugten) pomiędzy polskim oryginałem prozy Schulza i francuskimi przekładami, by rozpocząć rewindykację utraconych w tłumaczeniu sensów Schulzowskiej prozy.

Istnieje też inna droga. Jest to pełna przygód droga światowych poszukiwań i kwerend archiwalnych. Celem są zaginione fragmenty dzieła Schulza i dokumenty rzucające światło na tajemnice jego biografii. Ta droga nie ma końca. Ficowski, który szedł nią przez sporą część swojego życia, był od Sandauera roztropniejszy. Nigdy nie powiedział: wszystko odnalazłem, wszystko ustaliłem. Niech to będzie dla nas zachętą. Zwłaszcza że niekiedy w tym eksploracyjnym działaniu nie trzeba nawet daleko się zapuszczać. Odkrycia znajdują się na wyciągnięcie ręki. Wystarczyło na przykład odkleić od tektury dobrze znany rysunek (przedstawiający projekt ekslibrisu Elli i Kubusia Schulzów), by na drugiej stronie odnaleźć jeszcze jedną scenę bałwochwalczą i szkic portretowy matki rysownika – zakryte przed naszymi oczami przez dziesiątki lat. Idąc nieco dalej tą samą drogą, wystarczyło uważnie i systematycznie przejrzeć kolejne numery dostępnego wszystkim w Internecie czasopisma (na przykład ukazującego się w Drohobyczu w latach trzydziestych „Przeglądu Podkarpacia”), by odnaleźć nieznaną esej Schulza poświęcony twórczości Maurycyego (Ephraima Mosesa) Liliena i sztuce żydowskiej, a także niewielką recenzję wystawy prac Feliksa Lachowicza.

Jeśli ktoś nie wie, w jaki sposób rozpocząć poszukiwania, powinien spędzić dzień lub dwa w archiwum Ficowskiego. Trafą tam na wiele tropów, dzięki którym odnajdzie, być może, klucz otwierający jakieś drzwi Schulzowskiego świata.